

# KORFANTÓWKA

Jednodniówka Instytutu Myśli Polskiej im. Wojciecha Korfanteo

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Katowice ul. Teatralna 4, WYDAWCA: Instytut Myśli Polskiej im. Wojciecha Korfanteo

**I miejsce w kategorii plastycznej Jerzy Wolf – Powstaniec Śląski 2121**



# KONKURS „KORFANTASTIC”

Górny Śląsk jest najczęściej kojarzony z dwoma migawkami. Pierwsza z nich przedstawia węgiel i została ukształtowana w trakcie ostatniego stulecia, gdyż historycznie podstawą przemysłu i znakiem rozpoznawczym Górnego Śląska było wyjątkowo dobrze rozwinięte hutnictwo. Druga z nich prezentuje postindustrialny pejzaż porzuconych lub likwidowanych zakładów przemysłu ciężkiego. Gdy ktoś mówi „Górnoślązak”, w myślach większości Polaków pojawia się oparte na stereotypie wyobrażenie pobrudzonego węglem górnika mieszkającego w zaniedbanym XIX-wiecznym familoku. W rzeczywistości pod tym stworzonym z klisz obrazem kryje się zupełnie inna rzeczywistość.

W ostatnich latach Górny Śląsk przechodzi kolejną transformację. Pierwsza, zapoczątkowana przez rewolucję przemysłową, nadała mu industrialny charakter, teraz zaś punkt ciężkości przenosi się z gospodarki opartej na przemyśle, w szczególności ciężkim, na gospodarkę opartą na wiedzy. W miejscu dawnych hut i kopalń powstają nowoczesne skomputeryzowane zakłady pracy odległe od stereotypowych wyobrażeń. Miasta Górnego Śląska, w szczególności te zaliczane do okręgu przemysłowego, takie jak Chorzów (niegdyś znany jako Królewska Huta), Katowice, Bytom czy Siemianowice Śląskie, zwiększają ilość i jakość zieleni miejskiej oraz inwestują w nowoczesną infrastrukturę, która od lat jest dumą Górnego Śląska.

W obiegowej opinii miasta regionu od lat pozostają zanieczyszczone i zaniedbane. Znacznie mniej osób wie, że w 1931 roku elektryfikacja Katowic obejmowała niemalże 93% budynków, co wyróżniało je na tle innych miast Polski. Dla porównania w tym samym okresie jedynie ok. 59% budynków w Krakowie miało dostęp do sieci elektrycznej, w Poznaniu zaś ok. 63%. W latach 30. XX wieku 96% katowickich budynków było podłączonych do wodociągów; dla porównania w Warszawie liczba ta wynosiła jedynie 62%, w odległym Wilnie natomiast 12%. Zapomniane i podupadające miasta to obraz pochodzący z lat 90. ubiegłego wieku, kiedy przeprowadzano głębokie zmiany gospodarcze w kraju, często ignorując koszty społeczne. Ten okres odcisnął wyraźne piętno na regionie. Dziś, tak jak po traumie spowodowanej przejściem Armii Czerwonej w 1945 roku, Górny Śląsk odbudowuje się i zyskuje miano jednego z głównych ośrodków nowoczesności w kraju.

Dziedzictwo kulturowe Górnego Śląska jest nad wyraz rozległe. Z jednej strony tworzą je słowiańskie opowieści sprzed rewolucji przemysłowej – historie o bebokach, utopcach i diabłach wraz z barwnymi zwyczajami górnośląskiej wsi (jedne z ostatnich słowiańskich obchodów nocy kupały odbyły się w początkach XX wieku na Opolszczyźnie). Z drugiej strony Górny Śląsk to technologiczna spuścizna ludzkości – nazwy miast, dzielnic i niektórych wsi wywodzą się od zakładów pracy lub dawnych kolonii robotniczych. Sam krajobraz jest wzbogacony widokiem rewitalizowanych relikwów przemysłowych – budynków po dawnych hutach i kopalniach, które intrygują specyficzną architekturą. Historia regionu, niestety nieznana w pozostałych częściach Polski i pomijana w systemie edukacji, obfituje w zaskakujące wydarzenia oraz niebanalne postaci, których losy mogłyby się stać kanwą niejednego opowiadania, a nawet filmu.

Trzymając Państwo w dłoniach specjalny numer pisma popularnonaukowego Instytutu Myśli Polskiej im. Wojciecha Korfantego „Korfantówka”, na który składają się opowiadania reprezentujące nurt szeroko rozumianej fantastyki. Teksty te w zróżnicowany sposób mierzą się z przeszłością i folklorem Górnego Śląska. Dzięki osadzeniu akcji w imaginariu górnośląskim, urealniamy obiegowe wyobrażenia dotyczące regionu, ostatecznie prezentując go z innej, nieznananej powszechnie strony.

Trzecia edycja konkursu „Korfantastic”, podobnie jak zeszłoroczna, cieszyła się znacznym zainteresowaniem, co potwierdza sens i potrzebę podejmowania takiej inicjatywy. Konkursy takie jak „Korfantastic” przyczyniają się do utrwalania pamięci o przeszłości regionu i upowszechniają wiedzę historyczną w atrakcyjnej, nowoczesnej oraz dość lekkiej formie.

Tegoroczny konkurs „Korfantastic”, podobnie jak w ubiegłych latach, odbywał się w dwu kategoriach – literackiej i plastycznej. W kategorii literackiej można było zgłaszać krótkie opowiadania fantastyczne inspirowane historią i kulturą Górnego Śląska ze szczególnym wskazaniem na okres powstań śląskich, plebiscytu, II Rzeczypospolitej oraz działalności Wojciecha Korfantego. W kategorii plastycznej w konkursie mogły brać udział grafiki stworzone w technice dowolnej inspirowane powyższą tematyką.

*dr Michał Spurgiasz*

## WYNIKI KONKURSU

Jury składające się z pracowników Instytutu Myśli Polskiej im. Wojciecha Korfantego pod przewodnictwem pani dyrektor Doroty Pociask-Frącek postanowiło w kategorii literackiej nagrodzić następujące opowiadania:

1. **Marcin Halski** – Leśna baba,
2. **Przemysław Karbowski** – Sobowtór,
3. **Kamil Bednarek** – Człowiek z bażołów,
4. **Lisioł** – Rycerz Świętej Anny.

Wyróżnienia przyznano opowiadaniom:

Emil Zawadzki – Wieloświat Korfantego,  
Małgorzata Sikora – Bracia,  
Adrian Musiał – Korfantia,  
Jerzy Wolf – CyberSilesia 2121.

W kategorii plastycznej jury nagrodziło grafiki:

1. **Jerzy Wolf** – Powstaniec Śląski 2121,
2. **Kamila Radwan** – Galaktyczny Korfanty,
3. **Lisioł** – Statek kosmiczny „Korfanty”,
4. **Agnieszka Makowska** – Zemsta bogów.

Wyróżnienia przyznano grafikom:

Julia Zygula – Podniebni Powstańcy,  
Katarzyna Siwiec – Ofiara,  
Aleksandra Gerc – Plebiscyt górnośląski,  
Mateusz Świstak – Alternatywna rzeczywistość;  
Małgorzata Gortel – Korfanty odżywia Śląsk;  
Wiktor Kozdroń – Odważny jak lew.

Nagrodzone oraz wyróżnione opowiadania i prace graficzne zostały opublikowane w niniejszym specjalnym numerze „Korfantówki”. Gorąco zachęcamy do zapoznania się z ciekawą i fantastyczną interpretacją burzliwych dziejów Górnego Śląska.

**Gratulujemy laureatom i wyróżnionym!**

*dr Michał Spurgiasz*

### I miejsce w kategorii literackiej

## LEŚNA BABA

Alojzy wciąż biegł, choć powoli zaczynało mu brakować sił. Napędzał go strach. Słyszał przyspieszone oddechy uciekających obok ludzi, ale nie zatrzymywał się, aż dotarł na Szarlej. W głowie słyszał echa wystrzałów, okrzyki rannych, a w ustach czuł gorzki porażki. Dopiero gdy skręcił za starą kamienicę, przystanął. Po raz pierwszy spojrzął na towarzyszących mu, tak samo jak on wykończonych Ślązaków.

– Ponieśliśmy fiasko. – Kapral, który wcześniej zarządził odwrót, usiadł ciężko na chodniku. – Wredne szwaby, ktoś musiał ich ostrzec.

Karabin, który w ostatniej chwili udało mu się wyszarpnąć niemieckiemu żołnierzowi, upadł na bruk z głośnym trzaskiem. Kapral, pomimo dość młodego wieku, miał twarz poprzecinaną bruzdami. Inni zebrani koło niego ludzie wyglądali podobnie: poświęcenie, wyczerpujące działania w podziemiu, a w ostateczności doprowadzenie do powstania kosztem osobistych wyrzeczeń odcisnęły piętno na każdym z nich. A dziś, po miesiącach przygotowań, zrozumieli, że przegrali. Świadomość porażki miała na nich ciążyć już do końca.

Zdawali sobie jednak sprawę, że ich życie najprawdopodobniej potrwa bardzo krótko, a to przynosiło im jakąś ulgę.

– Co robimy dalej? – Alojzy przykucnął obok dowódcy, próbując przeniknąć wzrokiem ciemności. – To nie może się tak skończyć.

Kilkunastu brudnych, wycieńczonych ludzi pokiwało głowami. Zbyt wzzięcie walczyli, żeby bez oporu pogodzić się z przegraną. Spojrzenia pełne napięcia, ale i nadziei spoczęły na kaprale, który zdawał się o czymś intensywnie rozmyślać.

– Lubicie służby porządkowe? – zapytał szeptem.

Nerwowy, przytłumiony śmiech mężczyzn zabrzmiał osobliwie na pograżonej w ciszy ulicy. Niemiecki karabin ponownie znalazł się w dłoni wstającego z chodnika dowódcy.

– Pójdziemy do nich zgłosić... to i owo.

Nagle Alojzy poczuł na plecach dreszcz. Kątem oka złowił w ciemności jakiś ruch – przez chwilę wydawało mu się, że w bladej poświacie księżycy dostrzegł zgarbioną sylwetkę, ale uznał, że wzrok ze zmęczenia płata mu figle.

\*\*\*

Według doniesień szpiegów posterunek policji nie był dobrze strzeżony, dlatego niedobitki polskich powstańców uderzyły właśnie tam. Wydarzenia ostatniej nocy odbiły się echem pośród okupantów, jednak niewielki oddział bez przeszkód wdarł się do środka. Walka nie trwała długo – zaskoczeni niemieccy żołnierze poddali się po krótkiej wymianie ognia. Ślzący zamknęli pokonanych w celach, nie wiedząc, co z nimi zrobić.

Alojzy wraz z kapralem szukali dodatkowej broni w ogromnej szafie pancernej, gdy od strony prowizorycznie zabarykadowanych drzwi dobiegł jakiś stukot. Młody powstaniec od razu się odwrócił i ze zdziwieniem zdał sobie sprawę, że nikt inny nie zareagował na odgłos. Już miał coś krzyknąć do kaprała, kiedy natarczywe pukanie rozległo się ponownie.

– Ja to sprawdzę! – krzyknął i nie czekając na odpowiedź przełożonego, pobiegł w stronę wyjścia. – Wrogowie raczej nie pukają!

Ostrożnie podszedł do blokujących wejście mebli i wyjrzał przez pozostawioną szczelinę. Reszta towarzyszy patrzyła na niego, nic nie rozumiejąc. W bladym świetle poranka Alojzy zobaczył stojącą samotnie kobietę. Wyglądała na bardzo starą i schorowaną, jednak nie przeszkadzało jej to po raz kolejny mocno uderzyć w drewniane wrota trzymaną w dłoni laską.

– Co pani tu robi? Proszę iść do domu! – Chłopak powiedział to głośniejszym głosem niż zamierzał.

Coś nie pasowało mu w tej scenie, ale nie potrafił tego dokładnie określić. Staruszka spojrzała na niego smutno, a pozbawione zębów usta otworzyły się, jakby chciała coś powiedzieć. Z jej oczu biła dziwna pustka, a mimo to młody człowiek nie potrafił oderwać od nich wzroku. Nagle usłyszał w głowie jej myśli.

„To nie miało się zdarzyć. Oni już po was idą. Ty musisz przeżyć, więc ten jeden raz pomogę. Spotkamy się jednak jeszcze, a wtedy spłacisz swój dług”.

– Co do jasnej cholery nie miało się zdarzyć, po czyjej pani jest stronie? – odwarknął, choć w sercu poczuł ukłucie niepokoju i zimny dreszcz przebiegł mu po plecach. Jego własne słowa wydały mu się jakies... obce.

Kobieta jednak zniknęła – i to dosłownie. W jednej chwili widział jej przerażającą chudą sylwetkę, a zaraz po tym patrzył na pusty chodnik. Zamrugał, nie wiedząc, czy ma zwiady, czy może mu się to przyśniło.

– Alojzy, odsuń się od drzwi. – Usłyszał głos kaprała jak przez mgłę.

Chłopak odwrócił zdezorientowany. Wszystkie karabiny były teraz zwrócone w jego stronę. Jak zahipnotyzowany podniósł ręce do góry.

– Nienawidzimy szpiegów tak samo jak okupantów – powiedział zimno dowódca i skinął na swoich ludzi.

– Co?! – krzyknął Alojzy, ale nikt mu nie odpowiedział.

Skuli go brutalnie i bez zbędnych słów zaprowadzili na tyły posterunku. Alojzy, wciąż oszołomiony, wylądował teraz w celi obok aresztowanych wcześniej szwabów. Kiedy krata się zamknęła, olśniło go. Odpowiadał kobiecie po niemiecku, a przecież nie znał tego języka na tyle dobrze! Już chciał krzyknąć do kompanów, że zaszła jakaś dziwna pomyłka, ale w tym momencie komisarz zatrząsł się od wybuchu.

Gdy nadeszły niemieckie posiłki, Alojzy przywitał nowy dzień jako jedyny Polak na komisariacie. Załamany i zagubiony nie próbował się opierać. Żołnierze wyprowadzili go razem z uwolnionymi towarzyszami przed budynek.

Dookoła stało kilku gapiów. Młody powstaniec od razu zauważył wśród nich dziwną staruszkę.

Kobieta minęła pilnujących Alojzego strażników, którzy najwyraźniej jej nie dostrzegli, i podeszła do chłopaka. Do jego nozdrzy dotarł zapach liści, lasu i jeszcze jedna dziwna, nieokreślona woń.

– To był dopiero początek. W końcu się wam uda, choć nie za pierwszym i nie za drugim razem. Jesteś potrzebny rodakom, ale kiedy będzie już po wszystkim, wrócę po ciebie, bo twój czas powinien się już skończyć.

– Kim jesteś? – wyszeptał.

– Kimś, komu zależy, żebyście znowu byli wolni. Kimś, kto czeka na dzień, w którym wojska opuszczą lasy, a przyroda odetchnie w spokoju. – Spojrzała na młodzieńca, a w jej pustych oczach próżno było szukać jakichkolwiek emocji. Przypominały dwa ciche leśne stawy. – Bory potrzebują odpoczynku, a ty im w tym pomożesz.

Rozejrzał się nerwowo, ale żaden z niemieckich żołnierzy ani żaden ze zgromadzonych gapiów nie widział staruszki, mimo że stała naprzeciw Alojzego.

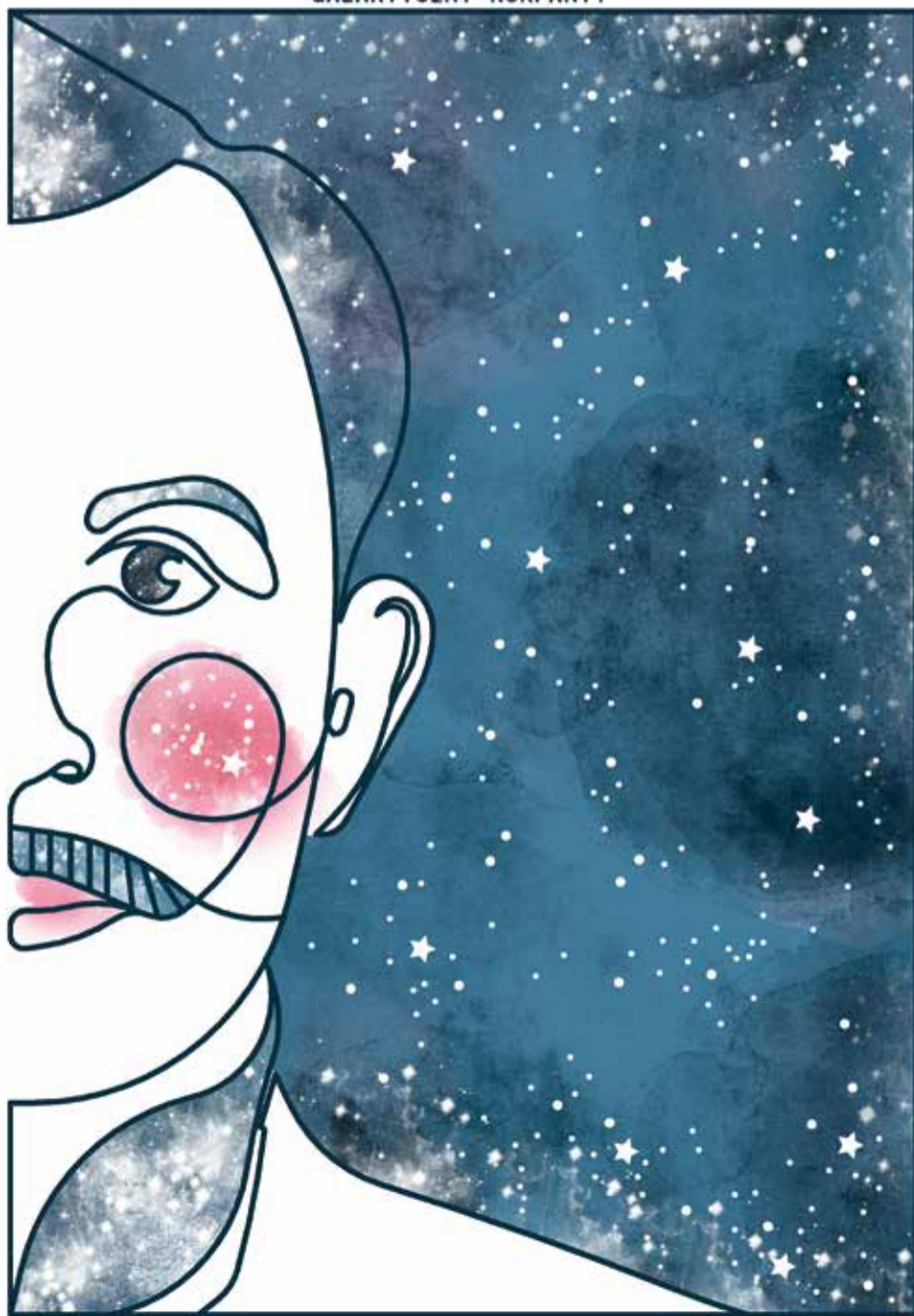
Powstaniec zadrżał. Zdał sobie sprawę, że zaciągnął śmiertelny dług u kogoś potężniejszego niż człowiek. Przelknął ślinę i opuścił głowę. Był gotowy. Wiedział, że jeśli jego poświęcenie pomoże rodakom w odzyskaniu wolności, musi przyjąć swój los bez wahania.

Kobieta uśmiechnęła się, widząc, że zaakceptował swoją misję. Potem pochyliła się i zaczęła mu szeptać do ucha. Już wiedział, co powinien zrobić. W oczach Alojzego po raz pierwszy od bardzo dawna zapaliła się iskra nadziei.

Marcin Halski

## II miejsce w kategorii plastycznej Kamila Radwan – Galaktyczny Korfanty

### GALAKTYCZNY KORFANTY



## II miejsce w kategorii literackiej

## SOBOWTÓR SOBOWTÓR

Doktor Anklewicz opukiwał drewnianą skrzynię, wbijając wzrok w tytułującego się majorem szpakowatego mężczyznę w cywilu. W innych okolicznościach kazałby woźnemu wyrzucić go na ulicę.

– Panie Michałowski, czy jak tam się pan nazywa – odezwał się medyk. – Każda dłuższa rozmowa może go zabić, a pan chce, żebym pozwolił podpiąć pacjenta do jakiejś szemranej aparatury? Jaką mam gwarancję, że ten rzekomo amerykański wynalazek mu nie zaszkodzi?

– Jemu nic już bardziej nie zaszkodzi! – syknął major. – Ja znam ich metody! Malowanie ścian farbą z arszenikiem, pocięte końskie włosie w jedzeniu!

– Bardzo sprytne – mruknął doktor. – Wrzody gotowe po kilku kanapkach. Nie lepiej zastrzelić z za węgła?

Michałowski się skrzywił.

– Nie każdego można – zauważył. – A Korfanty dla wielu wciąż jest autorytetem.

– Poszukajcie innych, zdrowszych. Pozwolę panu z nim porozmawiać, ale dopiero jutro.

Sierpniowe słońce oślepiło majora Michałowskiego, kiedy zdenerwowany stanął przed bramą na Hożej. Obejrzał się na Szpital Świętego Józefa, z którego właśnie wyprosił go doktor Anklewicz. W myślach jeszcze wygrażał konowałowi, ale mocodawcy kategorycznie zabronili użycia siły wobec personelu placówki. Poszukać zdrowszych... Dowcipny... Dmowski nie żył od stycznia. Młodzi, którzy się od niego odwrócili, mogli uchodzić za autorytety tylko w swoim środowisku narodowych gołowąsów. Piasecki czy Mosdorf to byli dobrzy pyskacze, ale czy mogli stanowić przeciwwagę dla sanacyjnej klikki w obliczu nieuchronnej niemieckiej nawały? Kurującego się w Truskawcu Witosa nie brano pod uwagę; rządził już trzy razy.

Według wojskowych spiskowców jedynym sensownym kandydatem pozostawał Wojciech Korfanty. Schorowany, wycieńczony aresztem na Pawiaku, rozgoryczony tym, jak odpłaciła mu Polska. Już za dwie godziny w jego imieniu, choć bez jego wiedzy, zamachowcy przyłożą pistolety do głowy marszałka Śmigłego-Rydza i dopilnują, by ten podpisał akt swojej „abdykacji”.

\*\*\*

Ambasador Roger Raczyński nie nadał z raportowaniem z Bukaresztu. Był wtajemniczony w dość dziwny zamach stanu w Polsce, ale przed rumuńskimi rozmówcami grał rolę zgodną z oficjalną wersją, w myśl której Edward Śmigły-Rydz ustąpił dla dobra kraju, przekazując władzę Narodowemu Frontowi Jedności i jego przewodniczącemu – Wojciechowi Korfantemu. Raczyński pozostał na stanowisku; jego niezbyt skrywana niechęć do ministra Becka wydatnie mu w tym pomogła.

Teraz dwoił się i troił, by dobić z Bukaresztem targu i zakupić pięćset wyrzutni raketowych, skonstruowanych przez rumuńskich specjalistów na podstawie wykradzionych charakterystyk niemieckich nebelwerferów. Miały już nawet roboczą nazwę „Giewont” i stanowiły istotny element propagandy w obliczu widma polsko-niemieckiej wojny. Ambasador natrafił jednak na opór w kwestii przetransportowania wyrzutni do Polski. Broniący się ostatkiem sił przed niemiecką dominacją Rumuni odmówili przeprowadzenia tej operacji przez granicę polsko-rumuńską, argumentując, że niemiecki wywiad odczyta to jednoznacznie jako prowokację. Pozostawała Słowacja. Z psem łańcuchowym Hitlera, księdzem Tisą na czele.

\*\*\*

Siedzący na łóżku Korfanty rozkaszała się okropnie. Michałowski podał mu kubek z letnią herbatą. O dziwo pomogła.

– Czyli od tygodnia rządzę? – zapytał z przekąsem chory. – Wie pan, ja jeszcze z Pawiaka chciałem uzyskać audiencję u Rydza. To był kiedyś niegłupi człowiek...

– W otoczeniu pochlebców i idiotów zgłupieje każdy. – Major wzruszył ramionami. – Marszałek nie jest wyjątkiem.

– Doktor Anklewicz postawił sprawę jasno: nie przeżyję tygodnia.

– Dlatego musimy się śpieszyć. Sobowtór już jest w Warszawie, czeka tylko na nasz sygnał.

– Może wy go odpowiednio wyucicie? Niech czyta moje artykuły, pisma, odezwy. Teraz muszę spisywać testament, a pan chce mnie owijać jakimiś przewodami... Czy ten... Czy on wie, na co się pisze?

Michałowski dołał Korfantemu herbaty.

– To urzędnik z Kielc. Wie. Przemawiał będzie zawsze z oddali; z bliska będziemy do niego dopuszczali tylko wtajemniczonych dziennikarzy, kontakt z prasą zagraniczną wyłącznie przez rzecznika. Względy bezpieczeństwa. Nam nie chodzi o zwykłego samozwańca. On ma myśleć jak pan. Ma być panem!

– I zdoła uniknąć wojny z Hitlerem? Odda Gdańsk?!

– Tym niech pan sobie nie zaprzęta głowy. Na pewno uczyni więcej niż ta sanacyjna hałastrą.

– Majorze, ja się boję wojny, ale domowej!

– To nie tak. – Michałowski pokręcił głową. – Ci ślepo zapatrzeni w Śmigłego-Rydzę wierzyli, że gdzieś w zaświatach stoi za nim Piłsudski. Skoro rzekł się władzy, uznają, że błogosławieństwo Piłsudskiego wygaśło. Rozumie pan? Karierowicze i miernoty dostosują się do każdej politycznej rzeczywistości. Za marszałka nie oddadzą choćby guzika...

Atak kaszlu rzucił Korfantego na przepoconą pościel.

\*\*\*

Po każdej podsłuchanej rozmowie Michałowskiego z Korfantym doktor Anklewicz serwował sobie serię siarczystych policzków, żeby upewnić się, że nie śni. Nie dość, że od tygodnia żył w innej Polsce, to jeszcze miał świadomość, że sam jest jednym z twórców nowego porządku. Zgodził się podłączyć Korfantego do aparatu przywiezionego przez totumfackich majora. Ten ostatni nie chciał dyskutować o szczegółach, ale wyglądało na to, że pudło wytwarza rodzaj pola magnetycznego, a połączenie dwóch osób przez systemem czas i diod ma umożliwić przepływ myśli czy wręcz skopowanie jaźni. Tylko co, jeśli leżący na łożu śmierci Korfanty nagle stanie się kieleckim urzędnikiem? Michałowski zbywał doktora wzmiankami o ewentualnej hipnozie jako zwieńczeniu eksperymentu; nie był zbyt rozmowny, mimo że wymógł na lekarzu słowo honoru, by ten dotrzymał tajemnicy.

Anklewicz nigdy by się nie zgodził na podobną szarlatanerię, gdyby już wcześniej nie słyszał o tym urzędzeniu. Usiłował sobie przypomnieć, kto o nim wspominał. Bodaj któryś z pro-

fesorów po sympozjum w Paryżu opowiadał o pracach Amerykanów nad zastąpieniem promieni rentgenowskich czymś mniej inwazyjnym. Na pewno była mowa o polu magnetycznym. Wieszczono przełom w obrazowaniu tkanek przesłoniętych kośćmi, ale program oficjalnie nie wszedł jeszcze w fazę prototypów. A teraz w Polsce gotowa maszyna pomaga odsunąć marszałka Śmigłego od władzy? To zakrawało na absurd.

Kiedy następnego dnia w proggu szpitala na Hożej stanął nieco wystraszony Korfanty ze sfatygowaną teczką i w znoszonej marynarce, Anklewicz nie miał już pytań. Michałowski poprowadził sobowtóra do gabinetu, w którym jego podwładni krzatali się przy ledwo żywym współtwórcy odrodzonej Polski.

– Niech pan mi powie chociaż jedno! – Lekarz złapał majora za ramię. – Czy gdzieś już się udało? Czy ktoś zrobił coś podobnego?!

– Owszem – Michałowski zmrużył oczy – nawet coś bardziej skomplikowanego. Osoba pozostała sobą, przynajmniej fizycznie, ale myśli już jak ktoś zupełnie inny. Czyta pan gazety?

Anklewicz skinął głową.

– I nie dziwiło pana, co wyprawia ksiądz Tiso? „Giewonty” już przetransportowano przez słowacką granicę.

– Wyrzutnie dla Polski... – szepnął doktor. – Zerwanie paktu z Hitlerem...

Nagle wszystko stało się jasne.

\*\*\*

Pierwsza radiowa odezwa Wojciecha Korfantego do Polaków, wygłoszona 21 sierpnia 1939 roku, mocno współgrała z tytułami w prasie. *Walczył Polskę, teraz Ją uratuje; Tiso wypowiada posłuszeństwo Hitlerowi; Warszawa-Bukareszt-Bratysława. Nowy pakt stalowy?; Polacy murem za Korfantym; Król Karol rozprawia się z Żelazną Gwardią; Prezydent Mościcki już po rozmowach z Korfantym.*

Nagłówek *Minister Ribbentrop odwołuje wizytę w Moskwie* przeszedł bez echa.

Przemysław Karbowski

### III miejsce w kategorii plastycznej **Lisioł** – Statek kosmiczny „Korfanty”



### III miejsce w kategorii literackiej

## CZOWIEK Z BAŻOŁÓW

Widział jedynie mrok, a do jego uszu dochodziły stłumione dźwięki kapiącej wody i dobiegających zza ściany głosów. Po zatrzymaniu pobili go tak dotkliwie, że miał problemy z oddychaniem i nie czuł połowy twarzy. Nawet nie chcieli wysłuchać jego wersji wydarzeń. Po prostu skatowali, a potem naciągnęli worek na głowę i zawlekli do aresztu.

Nagle usłyszał kroki dwóch osób. Nerwowo poruszył się na krześle, sycząc z bólu wywołanego przez połamane żebra. Spróbował rozluźnić nadgarstki, ale nie pozwolił na to krępujący je sznur. Gdy zdecydowanym ruchem ściągnięto mu z głowy worek, blask stojącej obok lampy boleśnie go poraził. Dopiero kiedy jego oczy przywykły do światła, spostrzegł, że jest w piwnicy. Pod sufitem biegły rury z zaworami, a przed nim stało proste wojskowe biurko, za którym zauważył człowieka w kapitańskim mundurze. Przy stoliku obok siedział zwykły żołnierz i wkręcał arkusz papieru w maszynę do pisania.

– Nazwisko, stopień – burknął oficer.

– Herbert Funck, Gefreiter – odparł, z trudem otwierając posklejane krwią usta.

Kapitan miał zacięty wyraz twarzy. Biły od niego pogarda i niechęć do przesłuchiwanego. Żołnierz przy maszynie wystukał to, co powiedział Herbert, spojrzął na niego i posłał mu niewyraźny, smutny uśmiech.

– Gefreiter Funck – przesłuchujący popatrzył w teczkę – przynależność służbowa.

– 12 pułk piechoty dołączony do Freikorps Oberland. Dywersanci. – Herbert odkaszlnął, próbując choć trochę zwilżyć wargi.

– Jakie mieliście zadanie? – Kapitan nie odrywał od niego stalowego wzroku.

– Mieliśmy...

– Ja wam powiem – przerwał szorstko. – W nocy z 22 na 23 maja mieliście przedrzeć się przez rzekę Oder i zaminować teren przed mostem kolejowym na Olsau od polskiej strony. To zadanie, Gefreiter Funck, było kluczowe dla powodzenia naszego ataku na ten most, przejścia go i utrzymania nad nim kontroli. Jednak szturm z samego rana został skontrowany, bo żadna mina nie wybuchła

po drugiej stronie rzeki. Na nic zdało się to, że z początku przejeżdżaliśmy most, że zaczęliśmy się tam umacniać, pewni tego, że teren przed nami jest zabezpieczony! Wyparli nas stamtąd przy pomocy jakiejś pospawanej naprędce pancerkil! Nie zgadniecie, jak wielce zaskoczony był dowódca oddziału, widząc jednego z odpowiedzialnych za dywersję biegnącego torami w stronę Rzeszy. To byliście wy, Gefreiter Funck. Lepiej wytłumaczcie, jak doszło do tego, że nie wykonałście zadania, a w dodatku próbowaliście zdezerterować!

– Ale...

– Od początku – warknął kapitan – A wy, Kloss, notujcie każde jego słowo.

Herbert zbierał się w sobie przez dłuższą chwilę. Wiedział, że to, co powinien powiedzieć, nie będzie miało najmniejszego sensu. Ale taka była prawda. Mógłby próbować kłamać, zmyślić jakąś historię i trafić za nią do karnej kompanii albo więzienia, ale nie chciał tego robić. To, co widział wtedy, powinno zostać spisane. Choćby w raporcie z przesłuchania.

– Późnym wieczorem cała nasza dwunastka wyjechała ciężarówką w stronę moczarów, przez które mieliśmy się przepawić na drugą stronę, a potem podejść do Olsau od północy – mówił, mobilizując wszystkie siły. – Bez żadnych przeszkód dojechalibyśmy tam około północy. Kierowca wysadził nas na zachodnim brzegu, na południe od Roschkau. Zdjęliśmy skrzynki z minami z ciężarówki i ruszyliśmy na drugą stronę, brodząc w wodzie po pas. Przeszliśmy przez jeden staw, potem przez drugi, dotarliśmy do rzeki i, zgodnie z planem, zrobiliśmy postój na jej wschodnim brzegu. Czteroosobowy zwiad udał się do pobliskiego lasu, ale po półgodzinie nikt nie wrócił. Schowaliśmy skrzynie i poszliśmy ich poszukać. Przeszliśmy przez linię drzew, a za nią była polana porośnięta wysoką trawą.

Kapitan notował coś w teczce, nie patrząc na przesłuchiwanego.

– Chociaż noc była cicha i spokojna, to cały czas słyszeliśmy wokół siebie jakieś pomruki, bulgotanie, warknięcia i nigdzie nie było widać chłopaków ze zwiadu – kontynuował Herbert. – Mieliśmy być w pełnej konspiracji, więc

cd. ze strony 5

latarki włączyliśmy dopiero w ostateczności i zobaczyliśmy, że jeden z naszych leży na samym środku tej łąki. Dwóch się wyrwało w tamtą stronę, ale zamiast wejść w trawę, wpadli w nią po szyję i zaczęli znikać, machając rękami. Nasza szóstka złapała za broń i ustawiliśmy się plecami do siebie. Ja nie widziałem, co się stało, ale Walter wydarł się przerażony i zaczął strzelać. Jak się obróciłem, to już leżał z dziurą w plecach. Po chwili krzyknął też Erich, a za nim Adolf. Kolejni padali tuż obok, a ja nie wiedziałem dlaczego. Nie było słychać strzałów, kroków, nic. Zostało nas trzech, popatrzyliśmy po sobie i chcieliśmy się rzucić do ucieczki, ale nagle przed nami wyrosło coś przerażającego.

– Co dokładnie? – Kapitan patrzył na niego z kpiącym uśmiechem. – Może Piłsudski?

– Nie wiem, co to dokładnie było – ciągnął mimo to Herbert – ale wyglądało przerażająco. Stało na dwóch nogach jak człowiek, ale człowiekiem być nie mogło. Było o połowę wyższe ode mnie, a w barkach szerokie jak dąb... Głowę miało łysą, ale jakby owiniętą jakąś wodną roślinnością, jakimiś glonami... – mówił coraz szybciej, czując ten sam strach, co wtedy. – Reszta ciała tej istoty też była zielonkawa i też coś na niej rosło. Wodorosty, glony, jakieś narośle... obrzydliwość. Mięśnie miało ogromne, łapy jak konary z pazurami na końcach... Wielkie, straszne. Wpatrywało się to w nas swoimi świecącymi na żółto ślepiami i wyszczerzyło szpiczaste kły. Poczulem, że coś mnie trzyma za kostki. Spojrzałem, a tam jakieś pnącza dowiązały nas do ziemi. Szarpałem się, ale to nie puszczało. Dieter zaczął strzelać, ale bestia chwyciła jego karabin i wyrzuciła go gdzieś w bok. Sparaliżowało mnie. Patrzyłem tylko na to i nawet nie sięgnąłem po broń, a ten stwór chwycił Dietera jedną łapą za głowę i oderwał ją... bez wysiłku, jakby to był jakiś papoch... Markus chwycił za broń, ale stwór zdzielił go łapą tak, że tamten poleciał w bok, a nogi zostały w trawie, trzymane przez te pnącza. Patrzyłem na to i nie mogłem się ruszyć, a bestia podeszła do mnie, spojrzała mi w oczy i warknęła coś, co brzmiało jak „raus”. Potwór odsunął się, robiąc mi tyle miejsca, żebym mógł koło niego przebiec. Bałem się, że to pułapka, że jak będę go mijał, to walnie mnie w głowę, pochwyty... ale nie chciałem na to patrzeć choćby chwili dłużej. Ruszyłem i biegłem ile sił w nogach. Popędziłem w stronę, z której przyjechaliśmy. Biegłem długo... nawet nie wiem ile. Stałem dopiero, gdy zobaczyłem nasze mundury.

– Gefreiter Funck... – Kapitan westchnął. – To o Piłsudskim było tylko

żartem, ale wasza opowieść nie musi być zupełną bzdurą. Tak się składa, że w trakcie ataku pojaliśmy wielu jeńców i każdy mieszkaniec okolicy potwierdzał, że istnieje legenda o, jak oni to mówią, czowieku z bażołów. Według nich właśnie na tych bagnach mieszka bestia, która zabija każdego, kto wejdzie na jej teren. Gdy tylko przejmujemy ten obszar, specjalna jednostka sprawdzi, czy ta legenda ma

w sobie ziarno prawdy, a przy okazji dowiemy się, czy nie kłamaliście. Niestety wy tego nie doczekacie, bo w oficjalnej wersji raportu przynajmniej się do porzucenia towarzyszy na polu walki, dezercji i szpiegostwa. Sąd wojсковy wydał już wyrok śmierci. Kloss, wezwijcie pluton, niech go wykonają jak najszybciej.

Kapitan podniósł się, zabrał swoją teczkę i wsadził w nią arkusze maszynopisu. Przeszedł obok Funcka bez słowa, nie zaszczycając go choćby spojrzeniem. Więzień patrzył w pustkę tępym wzrokiem, nie rozumiejąc, co się właśnie wydarzyło. Kloss schował maszynę do walizki, zgasił lampę i wyszedł, zostawiając go w mroku.

Kamil Bednarek

#### IV miejsce w kategorii plastycznej Agnieszka Makowska - Zemsta Bogów



## IV miejsce w kategorii literackiej

## RYCERZ ŚWIĘTEJ ANNY

23 maja 1921 roku

Idąc ciemnym korytarzem, Jan Ekert czuł strach, a nie należał do ludzi, którzy bali się byle czego. Wnętrze Góry Świętej Anny trzęsło się i zawodziło jak cierpiący człowiek, który przyjmuje kolejne ciosy. Grudki ziemi odpadały ze wszystkich stron, sypiąc się pod nogi niespodziewanego gościa. Do tej pory Ekert nie miał powodu, żeby wierzyć w opowiadane dzieciom bajki o rycerzu w służbie Świętej Anny uśpionym w łonie góry. Drgający blask zapalniczki sugerował jednak coś zupełnie innego. Jan szedł wydrążonym bezpośrednio w ziemi korytarzem, którego nie powinno tu być. Ogień w zapalniczce przygasł. Ekertowi kończył się czas liczony w mililitrach sześciennych zachłannie pożeranej benzyny. Jeśli nie odkryje tajemnicy Góry Świętej Anny, zawiedzie nie tylko swoich walczących kolegów, lecz także dowódcę Naczelnej Komendy Wojsk Powstańczych – Macieja Mielżyńskiego, który osobiście wydał mu ten niecodzienny rozkaz.

Ekert przestał liczyć kroki przekonany, że stanie się częścią legendy o rycerzu Świętej Anny jako kościotrup zalegający w zapomnianym przejściu. Drżenie i płacz góry przestały docierać do jego uszu, gdy w końcu drgający płomyk wydarł dla niego z ciemności zarys kamiennych drzwi pokrytych dziwnymi znakami. Oto legenda stawała się rzeczywistością na oczach skromnego powstańca śląskiego, pragnącego jedynie powrotu na łono ojczyzny.

Przez dłuższą chwilę Ekert przyglądał się drzwiom, delikatnie muskając kamień palcami. Płomykzadrzał niebezpiecznie, grożąc wygaśnięciem, co od razu wyrwało Jana ze stuporu. Sięgnął po bukłak z okowitą i zgodnie z instrukcją Mielżyńskiego rozlał całą zawartość na kamienne drzwi. Wryte znaki zaświeciły się, zachłannie chłonąc wodę życia. Wrota otworzyły się w momencie, gdy płomień zapalniczki pochłonął ostatnią kroplę benzyny. Ekert stał w kompletnej ciemności. Na usta cisnęło mu się soczyste przekleństwo, ale nagle znieruchomiał.

Mrok ukrytej komnaty rozjaśniły dwa jarzące się punkciki. Białe tęczęwki otaczały pomarańczowe płomienie, znajdujące się stanowczo za wysoko jak na człowieka. Po chwili dołączyły do nich kolejne. Były ich setki.

\*\*\*

Pociski przecinały powietrze. Nie było ucieczki. Niemcy parli naprzód niczym rozpędzony pociąg, docierając do podnóża góry Chełm zaledwie w kilka godzin. Alojzy Lubczyk mocno zacisnął palce na swoim karabini, aż pobiełały mu knykcie. Musi walczyć dalej – o każdy dom, każdy skrawek trawy i każdą piędź ziemi. Niemcy nie mogą zrobić ani kroku do przodu. Teraz albo nigdy. Jednym zdecydowanym ruchem Alojzy odepchnął się od ściany domu, gotów wybiec na drogę i własnym ciałem zatrzymać Niemców. Wtedy rozległ się ogłuszający huk. Ziemia zatrzęsała się, powalając Lubczyka na kolana. To dwa pociągi pancerne przybyły do Gogolina i wzięły na cel powstańców. Dymiące lufy siały śmierć z przerażającą regularnością. Jak zniszczyć coś tak potężnego?

Alojzy nieraz już patrzył śmierci w oczy. Dla Ojczyzny był w stanie oddać wszystko, ale teraz odczuwał jedynie bezsilność. Jego koledzy znikali rozrywani na kawałki, a on nie był w stanie się nawet podnieść, ukryty pod wirującą warstwą kurzu. Nie widział szansy na zwycięstwo w starciu ze stalowymi potworami, ochranianymi przez uzbrojoną po zęby piechotę. Miał ochotę krzyczeć, ale zamiast tego zaszlochał niczym dziecko, po czym zerwał się do biegu w kierunku odwrotnym, niż powinien. Nie był w tym osamotniony. Kontratak uległ załamaniu, a powstańcy zaczęli się wycofywać, stając się coraz mniejszymi punkcikami w szkle lornetki niemieckiego oficera.

\*\*\*

Kapitan Maximilian jeszcze przez chwilę napawał się widokiem, po czym rozkazał swoim oddziałom ponowić natarcie. Góra Świętej Anny jeszcze dzisiaj powróci do Niemiec. Wagon artyleryjski zatrzęsł się, gdy lufa plunęła ogniem. Na zbocz góry rozbłysła eksplozja spowita dymem, a obok niej pojawił się kolejny wybuch. Maximilian opuścił lornetkę. Owszem, dysponował dwoma pociągami, ale kazał strzelać tylko jednemu. Skąd się wziął drugi wybuch?

\*\*\*

Alojzy biegł. W uszach szumiała mu krew, rytm wyznaczały przyspieszony oddech i bicie serca głośniejsze od krzyków rannych. Na jego oczach Góra Świętej Anny przyjęła kolejny

cios od niemieckiego pociągu pancernego. Tym razem pocisk spadł nisko, a dym otoczył cały świat Alojzego. Kurz pchał się do płuc, dusił go. Lubczyk brnął na oślep w stronę połyskującej pomarańczowej smugi, która z każdym krokiem stawała się coraz wyraźniejsza. Z kurzu wyłoniła się postać konia okrytego zbroją w jaskrawych kolorach. Czerwień przechodziła w pomarańcz, by wybuchnąć na koniec żółcią, przez co przypominała płonące ognisko. Naczółek z siatkową ochroną oczu zdobiła postać lisa, hełm był zaś udekorowany parą grzebieni osłaniających uszy zwierzęcia. Jednolita powykrzywiana blacha napierśnika była osmolona w wielu miejscach, podobnie jak blachy boczne oraz nadzadnik. Zbroja jeźdźca miała te same barwy, co pancerz rumaka. Hełm zakrywający całą twarz był zwieńczony wizerunkiem przyczajonego lisa. Wzjer wydawał się płonąć od środka niczym wnętrze wulkanu.

Alojzy nie mógł uwierzyć własnym oczom. Dostrzegł setki płonących oczu obitych w blachy z kopiami w rękach. Zastęp rycerzy ruszył przed siebie, całkowicie ignorując oniemiałego powstańca. Alojzy mógłby przysiąc, że wszystkie mijające go wierzchowce – poza pierwszym – nie miały ani grama mięśni. Same kości.

\*\*\*

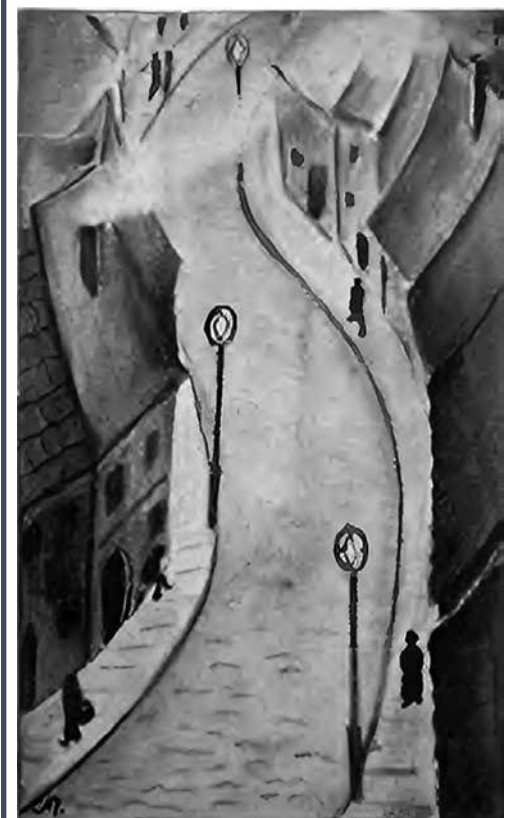
Kapitan Maximilian uśmiechnął się złośliwie, widząc pędzącą w jego stronę kawalerię. Nie sądził, że Polacy są aż tak głupi, by szarżować na pociągi pancerne. Z każdą sekundą sylwetki jeźdźców stawały się coraz wyraźniejsze, przypominając bardziej echo odległych czasów niż żywych ludzi. Czując rosnący niepokój, kapitan Maximilian dał więc rozkaz do otwarcia ognia. Armaty obu pociągów skierowały swoje lufy na pędzących rycerzy, po czym oddały salwę. Dym przykrył pole bitwy, sprowadzając ze sobą dziwną ciszę. Maximilian odechnął, ale dziwne uczucie niepokoju nie chciało odejść. Ponownie przyłożył lornetkę do oczu.

Z kłębow dymu wyłoniły się sylwetki rozpędzonych rycerzy. Ich zbroje wydawały się płonąć. Ustawieni w szyk klinowy przywodzili na myśl kometę z długim ognistym ogonem. Kapitan Maximilian nie zdążył zareagować, gdy pierwszy z rycerzy poderwał konia do skoku, nacierając w locie. Zwierzę przeszło przez pancerny

pociąg jak przez masło, topiąc wszystko na swojej drodze. Tuż za nim runęli pozostali, pozostawiając na torach jarzącą się górę poskręcane metalu oraz samotną lornetkę leżącą w lekko przypalonej trawie.

Zastęp upiornych rycerzy przeszedł przez pole bitwy niczym pożoga przez step, pozostawiając po sobie dym i zniszczenie. Gdy wojsko rozmyło się w promieniach słońca, po Niemcach pozostały tylko rozrzucone wstęgi popiołu.

Lisioł



„Naokoło Świata” 1932, nr 102, s. 34. Zbiory: Śląska Biblioteka Cyfrowa.



Marcowe flirty, „Naokoło Świata” 1930, nr 72, s. 57. Zbiory: Śląska Biblioteka Cyfrowa.

# WIELOŚWIAT KORFANTEGO

Dla większości ludzi byłby to zwykły, niczym niewyróżniający się cmentarz. Inaczej sprawa wyglądała dla pewnego mężczyzny, który przechadzał się samotnie między rzędami marmurowych nagrobków. W głowie Wojciecha Korfantego miejsce to wiązało się z bardzo bolesnymi wspomnieniami, ponieważ właśnie w tych mogiłach spoczywali uczestnicy powstania śląskiego. Była to dotkliwa pamiątka ofiary, którą trzeba było ponieść dla wspólnej sprawy.

Mężczyzna westchnął ciężko i przystanął na chwilę przed jednym ze zbiorowych grobów. Kątem oka dostrzegł ruch i nagle zdał sobie sprawę z tego, że nie jest sam. Korfanty obrócił się i nieoczekiwanie stanął twarzą w twarz z tajemniczym osobnikiem ubranym w długi, smolście czarny płaszcz. Nieznajomy nasunął kaptur na twarz i lekko pochylił głowę, żeby jeszcze skuteczniej ukryć swoją tożsamość.

– Gratuluję – odezwał się szeptem obcy. – Wiem, że ta walka wiele cię kosztowała, ale ostatecznie osiągnąłeś swój cel, a Górny Śląsk przyłączono do Polski.

– Przepraszam bardzo, ale kim pan jest? – odpowiedział Wojciech, przyglądając się podejrzliwie nieznajomemu. Instynktownie cofnął się o krok.

– Ja? Nikim ważnym w porównaniu do ciebie, prawdziwego zwycięzcy. Ech... Gdyby tylko innym Korfantym poszło tak samo dobrze.

– Słucham? Jak to: innym Korfantym?

Przywódca powstania śląskiego nie miał pojęcia, czego może się spodziewać po tym niepokojącym człowieku. Rozejrzał się pośpiesznie, obawiając się jakiejś zasadzki, ale w pobliżu nie było nikogo innego. Tylko ponure cmentarzysko i oni dwaj.

– Czy słyszałeś kiedyś teorię o alternatywnych wymiarach? – zapytał nieznajomy i zachichotał nerwowo. – O licznych wszechświatach, w których ta sama osoba może podjąć inne decyzje, zupełnie odmieniając bieg historii? Czy uwierzyłbyś mi, gdybym powiedział, że to prawda?

– Nie – odparł krótko Korfanty, coraz bardziej zdenerwowany tą sytuacją.

– To nic... Pokażę ci.

Wojciech już chciał się odwrócić i odejść, ale obcy błyskawicznym ruchem wyciągnął ku niemu rękę i złapał go mocno za ramię. Dłoń nieznajomego była niczym stalowe imadło – nie pozwalała ruszyć się choćby o krok. Korfanty spojrział z przestachem na zakapturzonego osobnika w tym samym momencie, kiedy ten lekko uniośł głowę. Spojrzenie napastnika gorzało niesamowitym wewnętrznym blaskiem, który rozlewał się stopniowo dookoła i przysłaniał najbliższą okolicę. Cały świat nagle zawirował, a Korfanty poczuł, że traci grunt pod nogami i ulatuje gdzieś w dal. Wszystko wokół rozmazało się w olśniewającą, nierzeczywistą feerię barw. Zniknął cmentarz, zniknął obcy mężczyzna. Przez chwilę wokół wirował tylko kalejdoskop kolorów.

Osobliwy pokaz zakończył się równie gwałtownie, jak się rozpoczął. Teraz jednak Wojciech był już w zupełnie innym miejscu. Zobaczył w oddali wzgórze, na którym stał on sam, tyle że o wiele młodszy i potężniejszy, w rozchełstanej koszuli odsłaniającej umięśniony tors i z karabinem maszynowym w rękach. Na kopiec nacierały wrogie wojska, a młody Korfanty samodzielnie odpierał kolejne fale przeciwników z kamiennym wyrazem twarzy.

Jaskrawa płatanina kolorów ponownie rozmyła cały świat, a gdy wszystko już się uspokoiło, Wojciech znalazł się na pokładzie statku kosmicznego. Maszyna pędziła przez mroczne rubieże galaktyki, kierując się w stronę odległego, nikłego światła nieznanej gwiazdy. Korfanty dostrzegł w przedniej szybie odbicie pilota. Ku swemu zaskoczeniu znów rozpoznał własną twarz.

Kolejna międzywymiarowa turbulencja przerzuciła mężczyznę do świata opanowanego przez plagę nieumarłych, gdzie to właśnie on, Wojciech Korfanty, prowadził do boju resztki ludzkości. Jego armię tworzyli zarówno żołnierze z Polski, jak i z Rzeszy, zjednoczeni w obliczu upiornego zagrożenia.

Tajemnicze barwne zjawisko powtórzyło się jeszcze wiele razy, a Korfanty był stale zaskakiwany nowymi wizjami. Widział siebie przykutego do szpitalnego łóżka, walczącego z rakiem; siebie pojedynkującego się na miecze z rycerzem zakonu krzyżackiego; siebie uciekającego mroczną alejką przed agentami obcego wywiadu... W końcu, po nieskończonej długiej podróży przez alterna-

tywne wymiary, powrócił znajomy cmentarz, a na nim obcy mężczyzna, który wciąż trzymał Wojciecha za ramię.

– Kim ty jesteś?! – zawołał Korfanty, wrywając się z uścisku i z trwogą rozglądając dookoła. Przez chwilę nie był pewien, czy aby na pewno wrócił do swojego świata. – Bogiem? Śmiercią?

Obcy spojrział na niego smutnym wzrokiem, w którym nie było już niezwykłego blasku. Nagle Wojciech zrozumiał. Widział bowiem doskonale znane sobie spojrzenie, te same oczy, ten sam wyraz twarzy. Zakapturzonym osobnikiem był on sam, ale liczne zmarszczki świadczyły o znacznie bogatszym doświadczeniu życiowym.

– Jestem tobą z innego wymiaru – wyznał starszy mężczyzna. – Rozumiesz już? W każdym wszechświecie Wojciech Korfanty musi stoczyć walkę. Czasami jest to z pozoru niewiele znaczące starcie, jednak porażka zawsze niesie za sobą straszne i daleko idące konsekwencje. Z jakiegoś powodu jesteśmy częścią wielkiego kosmicznego równania! Ty osiągnąłeś swój życiowy cel i dzięki temu ten wymiar będzie bezpieczny.

– Te wszystkie światy! To naprawdę za każdym razem byłem ja? Czemu mi to pokazałeś?!

– Czasami bywa tak, że przegrywamy... – odparł cichym głosem Korfanty z innego wymiaru. – Tak było w moim wszechświecie. Studiowałem tam sztuki mistyczne, ale kiedy przyszedł czas próby, nie udało mi się nikogo ocalić. Mocy starczyło mi tylko na tyle, żeby w ostatniej chwili uciec do innego wymiaru. Dręczą mnie z tego powodu potworne wyrzuty sumienia. Teraz błędę po wieloświecie, obserwuję innych Korfantych i staram się im pomóc, jeśli są bliscy porażki. Robię wszystko, żeby odpokutować swoje winy i nie dopuścić do kolejnej tragedii.

Słuchając go, Wojciech powoli się uspokajał, a jego umysł porządkował wszystko, co było mu dane zobaczyć i usłyszeć. Na gościa z innego wymiaru patrzył teraz ze współczuciem. Rozumiał, jak bardzo ten drugi musiał cierpieć.

– Jeżeli wygrałem, jak sam wcześniej stwierdziłeś, to czemu tu jesteś?

– Ja... – Tamten zawahał się i smętnie zwiesił głowę. – Chyba jestem już zmęczony. Moja tułaczka trwa tak długo. Łudziłem się, że znajdę gdzieś drugiego Korfantego, który zechce pomóc mi w tej misji. Wiem, że nie powinienem był przychodzić w takiej sprawie...

– Stop! Jeśli inni nadal mogą potrzebować pomocy, to nie ma czasu do stracenia. Oczywiście, że ci pomogę. Nie dysponuję co prawda magiczną mocą, ale zrobię, co w mojej mocy, by naprawić sytuację.

Mimo że zakapturzony Korfanty właśnie tego się spodziewał po drugim sobie, to do ostatniej chwili nie był pewien rezultatu rozmowy.

– Dziękuję – wyszeptał i odetchnął z ulgą.

– Powiedz mi lepiej, który z tych wszystkich Wojciechów najpilniej potrzebuje naszej pomocy.

– Myślę, że najciężej ma ten, który musi odeprzeć inwazję żywych trupów. On nie walczy już tylko dla Śląska... walczy dla całego świata. Mogę dać ci trochę czasu na przygotowanie.

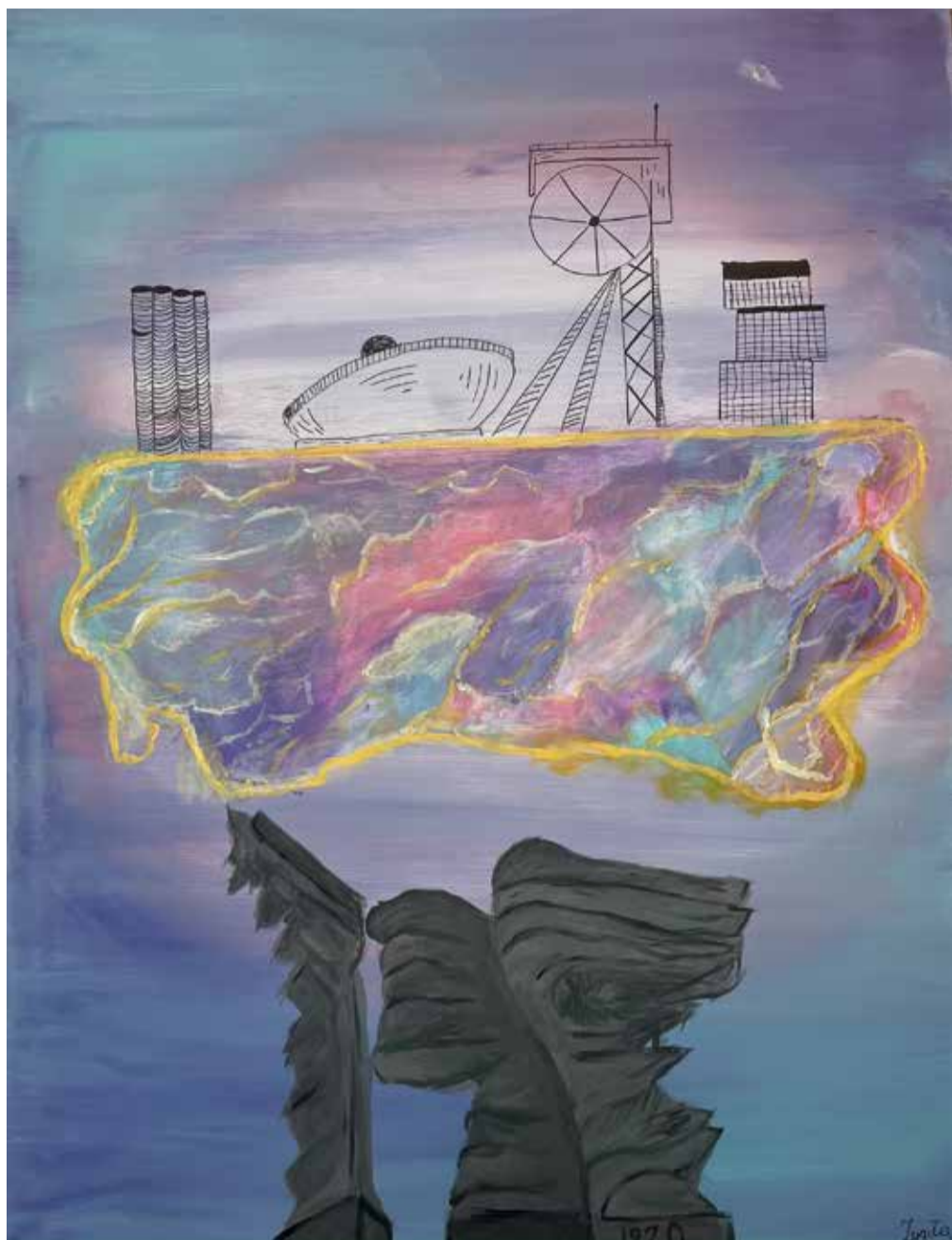
– Wykluczone – uciął młodszy Korfanty. – Mój kraj jest chwilowo bezpieczny. Ruszajmy.

Gość z innego wymiaru kiwnął głową i wyciągnął przed siebie rękę. Za pomocą kilku skomplikowanych gestów wyczarował portal, który prowadził do innego, niemal całkiem zdewastowanego świata. Wojciechowie spojrzeli na siebie ze zrozumieniem, po czym jednocześnie przekroczyli portal i zniknęli w oślepiającym błysku światła. Ich podróż po wieloświecie dopiero się zaczynała...

*Emil Zawadzki*



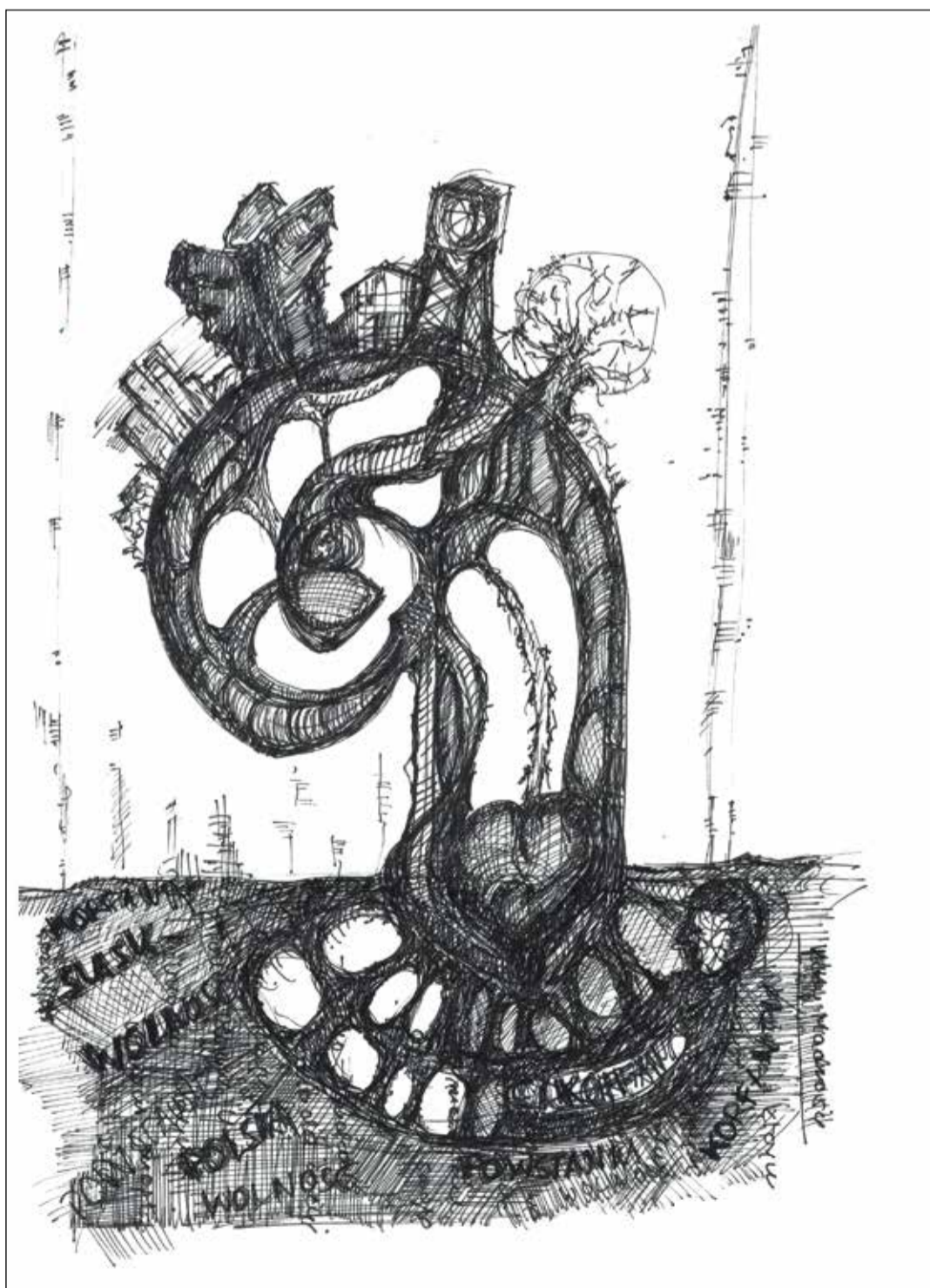
Wyróżnienie w kategorii plastycznej  
Julia Zyguła – Podniebni Powstańcy



Wyróżnienie w kategorii plastycznej  
Katarzyna Siwiec – Ofiara



Wyróżnienie w kategorii plastycznej Małgorzata Gortel – Korfanty odżywia Śląsk



## II wyróżnienie w kategorii literackiej

# BRACIA

Zdawało mu się, że serce dziko kołaczące się w jego piersi uderza o żebra. Odetchnął głęboko. Aby działać z głową, musiał się uspokoić. Wytlumić emocje.

Karlik i Ojgen nie lubili zbyt nerwowości. Zresztą jak wszystkie beboki.

„Dobrze. – Francik usłyszał swój własny głos szepczący w czaszce. – Pamiętaj, co godoł fater. Poleku, poleku...”

Od dziecka był przyuczony do swojej roli. Bebokorz. Ten, który obcuje z bebokami. Człowiek o chłodnym sercu i głowie, osoba zachowująca równowagę. Tylko ktoś o neutralnym usposobieniu i delikatnym temperamentcie nie napytał się o siebie w kontakcie z tymi włochatymi demonami.

Obcowanie z bebokami od pokoleń było sposobem na życie rodziny Najduchów. Bebok, jak powszechnie wiadomo, jest silniejszy i szybszy niż człowiek, można więc go zaprząć do wszelakich prac. Radzi sobie z ciężarami lepiej niż koń – Francik nieraz był świadkiem, jak beboki toczyły pazurzystymi łapami kamienie młyńskie, z którymi nie poradziłoby sobie nawet kilku mężczyzn. Paroma ciosami łapy były w stanie powalić drzewo czy zmienić bieg strumienia. A jaki respekt budziły we wsi! Obłąkawiacz mógł być pewien, że nikt nieproszony nie naruszy miru jego domu. A jeśli brakowało konia, bebok mógł ciągnąć drabiniok, chociaż nie był z tego zadowolony – uważał tę czynność za upadającą. W czasach, w których przyszło żyć Francikowi, te przedwieczne istoty zaprzęgnięto jednak do zupełnie innego wozu.

W jeden z tych pięknych letnich wieczorów do chaty Najduchów zajrzał mężczyzna ubrany po pańsku. Zamienił z ojcem kilka słów na osobności, a kiedy wyszedł, ojciec siedział przy stole z zamyśloną miną, aż wreszcie, po długich godzinach, rzekł:

– Synku, idymy do boju.

Słowa ciężko zawisły we wnętrzu izby. Lecz cóż było robić? Dobrze im płacono, a w czasach kryzysu nikt nie pogardzał groszem.

Dola była trudna, a droga do wyszkolenia beboków najeżona przeszkodami. Brutalna. Nie każdy z nich nadawał się do walki; wybrano najdziksze, najbardziej zawzięte i agresywne. Takie, których widok wystarczał, by wszelka odwaga rozplywała się jak sen.

A potem, wbrew szacunkowi do tych stworzeń, którym Francik nasiąkał przez całe życie, zaczęło się ich głodzenie i szczucie. Dni pełne krwi i potu zamieniły się w miesiące, aż ojciec pewnego dnia uznał, że są już gotowi. I chociaż Francika bardzo ucieszyła ta wiadomość, w tej samej chwili oprócz radości odczuł również zupełnie inne uczucie. Strach. Strach przed istotami, które przywykł kochać. Ale to nie były już te same istoty. Z pięknych i dumnych zmieniły się w dzikie, wiecznie głodne bestie. I nie patrzyły na niego tak jak dawniej. Czy pieniądze, które otrzymali, mogły to wynagrodzić?

Nadszedł dzień, w którym wyruszyli do powstania. Oni pieszo, beboki w kłatkach na kołach. Miały siać popłoch w szeregach wroga i dziesiątkować tych, których serca pałały żądzą mordy lub innymi gorącymi uczuciami.

Nie nadawały się jednak do otwartej bitwy, gdyż zawsze mogły obrócić się przeciw „swoim”; dla nich nie istniały strony, lecz sama żądza zabijania. Ciepło krwi na pazurach i kłach. Wyciąganie z klatki piersiowej ciepłego, jeszcze bijącego serca. Właśnie dlatego najbezpieczniej było je wypuszczać nocą w pobliżu obozów wroga, gdzie zaskakiwały śpiących przeciwników. Mało szlachetna, lecz bardzo skuteczna metoda.

Francik kilka razy w tygodniu spoglądał na spektakularne wyczyny beboków. Widział, jak szybko się ją zniszczenie, gdy tylko wedrą się do wrogiego obozowiska. Spoglądał na ludzi wybudzonych w środku nocy, próbujących zrozumieć, co się dzieje wokół, lub znaleźć bezpieczne miejsce. Niektórzy wykazywali dość przytomności, aby spróbować powstrzymać atak istot, te były jednak szybsze. Zanim wyrwany ze snu powstaniec zdążył podnieść pistolet do strzału, już padał martwy, powalony jednym sprawnym ciosem.

O, tak – chłopak niejednokrotnie widział ten obraz zniszczenia. Z każdym dniem odczuwał coraz większy respekt wobec beboków, coraz większy podziw... i coraz większą trwogę. Nie przypominały już jego przyjaciół z dzieciństwa. Mimowolnie rozważał, jak by się czuł, gdyby to on był po tej drugiej, skazanej

na zagładę stronie. Gdyby każdej nocy kładł się spać z obawą, że właśnie dzisiaj przyjdzie kolej na jego obóz.

Nic więc dziwnego, że tego wieczoru ręka drgnęła mu trochę silniej niż zwykle, gdy otwierał klatkę. Odsunął się i w milczeniu obserwował, jak Karlik i Ojgen wychodzą na oświetloną światłem księżyca polanę i bezszelestnie, łapa za łapą, podkradają się do wartowników. A potem jednym mocnym uderzeniem łapy kończą ich marne żywoty.

Gdy pazury Ojgena spotkały się z czaszką jednego ze strażników, obrzydliwe chrupnięcie dosięgło uszu Francika.

„To mogłem być ja” – pomyślał, a jego serce zabiło mocniej.

Karlik ruszył w kierunku obozu wroga, lecz Ojgen, słysząc uderzenie serca, obrócił się w stronę Francika. A potem beboki ruszyły biegiem – Karlik w kierunku śpiących powstańców, ale Ojgen...

Ojgen skierował pysk prosto w stronę Francika. Oczy chłopaka spotkały się ze ślepiami potwora; chłopak zobaczył w nich tylko jedno. Pragnienie krwi.

„Uciekaj!”

Instynkt zadziałał szybciej niż głowa. Nauki przekazywane przez ojca nagle przestały mieć znaczenie. Strach zwyciężył. Chłopak rzucił się do ucieczki.

Usłyszał za sobą głuchoe uderzenia łap. Ojgen był coraz bliżej. Francik mógł poczuć na karku jego śmierzdzący oddech.

„Jak to się stało, że kiedyś go kochałem?” – pomyślał, gdy pierwszy cios spadł na jego barki i powalił go na ziemię.

Upadając, zobaczył nad sobą niebo.

Za chwilę przysłoniła je olbrzymia włochata postać. Jej oczy pałały nieskrępowaną żądzą mordy.

Francik do ostatniej chwili liczył na cud, ale gdy długie kły rozorały jego szyję, poczuł, że nie znajdzie w beboku żadnej litości.

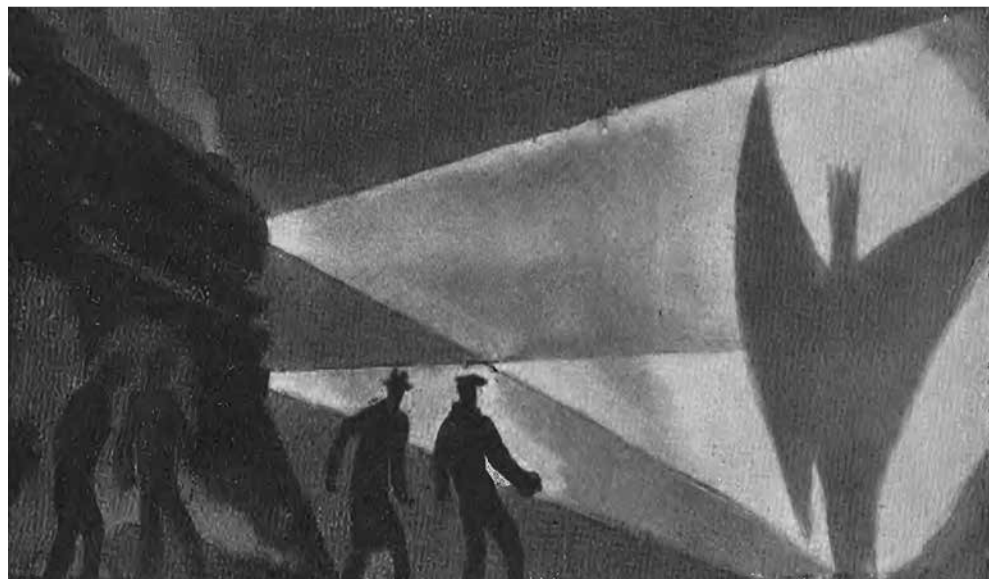
Ostatnim, co zobaczył, były ogromne bursztynowe źrenice potwora, rozświetlone nieskrępowanym łaknieniem. Mimo okrucieństwa, które zadawał, nadal był piękny w swoim majestacie. Serce Francika gasło, lecz nad jego klatką piersiową biło inne, mocniejsze – serce istoty, z którą się wychowywał, dawniej gotowej przybiec na każde jego zawołanie. Istoty, brodzącej razem z nim w rzece, układającej snopki na polach, odpoczywającej po ciężkim dniu...

I chociaż jeszcze chwilę wcześniej zastanawiał się, jak kiedyś mogły ich łączyć braterskie uczucia, teraz zadawał sobie zgoła odmienne pytanie.

„Jak to się stało, że zaczęliśmy się nienawidzić?”

Liczył, że w innym świecie, tam, gdzie Bóg odpowiada na wszystkie pytania, znajdzie odpowiedź.

Małgorzata Sikora



Wtem nieruchomy dotąd cierró cisnął w przestrzeń olbrzymie kontury ramion, „Naokoło Świata” 1928, nr 49, s. 44. Zbiory: Śląska Biblioteka Cyfrowa.

### III wyróżnienie w kategorii literackiej

# KORFANTIA

Korfantia z pozoru nie wyróżniała się niczym szczególnym pośród innych planet, które tworzyły Galaktykę Europy. Mimo to od lat świetlnych była miejscem, do którego wzdychali mieszkańcy okolicznych planet. Wszystko za sprawą czarnego złota, jak mówiono o węglu kamiennym, z którego zbudowana była Korfantia. W jej jądrze znajdowała się skała –praprzyczyna jej powstania, której wiernym strażnikiem był legendarny Adalbert Korfanty. W swojej kwaterze, skrytej głęboko pod jednym z kraterów, w zamkniętej skrzyni niczym relikwię przechowywał tak zwany Węgielek – niewielką czarną bryłę, od której biła płomienna, krwistoczerwona poświata. Wyglądało to tak, jakby bryła miała za chwilę spłonąć i zamienić się w garść popiołu. Nic bardziej mylnego. Dopóty wokół Węgielka unosiła się ta aureola, dopóki życie na Korfantii było możliwe. Gdyby jakimś cudem poświata zgasła, nadeszłaby zagłada ludu Górnoślązaków zamieszkujących planetę.

W tej bryle, a w zasadzie w chipie, który stanowił jej jądro, na mikroprocesorze została zapisana tożsamość ludu, wirtualna pamięć o przeszłości i wytworach kultury, a także kody językowe, które umożliwiały Górnoślązakom porozumienie się między sobą i z przybyszami z okolicznych planet. Zniszczenie tego chipa doprowadziłoby do utraty poczucia tożsamości ludu Korfantii. Pozbawiłoby jego członków pamięci i języka, przez co staliby się podatni na wpływy kolonizatorów z różnych części galaktyki, a zwłaszcza Germanów, którym już kiedyś udało się skolonizować planetę.

Dlatego Adalbert ukrył Węgielek w swojej kwaterze, z dala od poządlivych oczu mieszkańców i wrogów. Nie dało się do niej dostać. Ogromna metalowa brama była pozbawiona klamki – tak, by nikt nie mógł jej wyważyć. Dostać się tam można było tylko przez projekcję, która przenosiła do wnętrza kwatery. Gdy dana osoba znalazła się w środku, nie mogła jednak wyjść poza granicę przezroczystej kapsuły, którą tworzyła projekcja. Na to, by taką projekcję rozpocząć, musiał się zgodzić sam Adalbert. Te restrykcyjne środki ostrożności wynikały z faktu, że Korfantia odzyskała wolność całkiem niedawno, a więc w 1921 roku, licząc od Wielkiego Wybuchu, który ukształtował Europę.

Korfantia znów mogła się cieszyć niepodległością dzięki wysiłkom podejmowanym przez Górnoślązaków pod wodzą Adalberta, który na czas trwającej wojny i trzech krucjat księżycowych przyjął pseudonim „Wojciech”. Konflikt, który wstrząsnął całą Europą, spowodował gigantyczny chaos. Galaktyka od dawna nie przeżywała takiego kryzysu. I choć wojna zakończyła się po czterech latach świetlnych, zamiast upragnionej wolności przyniosła Korfantii tylko pozorną wolność. Dlatego Adalbert, kierowany miłością do rodzimej planety, poprowadził Górnoślązaków, którzy stanęli do trzech księżycowych krucjat. To one ostatecznie ukształtowały nowe wpływy w galaktyce.

Adalbert stał się symbolem odzyskanej wolności. Choć był niepozorny i niewielkiej postury, wyróżniał się światłem swojego analitycznego umysłu. Gustowny melonik dodawał mu wdzięku i powagi, podobnie jak frak. Ogólnie sprawiał wrażenie dżentelmena – i był nim, choć wrogowie mówili, że jest silny niczym bestia. Nawiedzał ich w snach. Był zmorą. Jego siłę stanowił intelekt i to właśnie on stał się jego największą i najgroźniejszą, bo nieobliczalną bronią.

Adalbert wychował się na Korfantii, a troskę o zachowanie dziedzictwa planety wyssał z mlekiem matki. Był znany ze swej rogatej duszy, a nawet z impulsywności. Jego nieodłącznym atrybutem była laska. Wyglądała normalnie, zwyczajnie, może nawet prymitywnie. Wielu doświadczyło bliskiego spotkania z jej twardym końcem. Prześmiewczo mówił, że to laska na wrogów, ale niewielu wiedziało, że nie był to zwykły przedmiot, a przekaźnik, za pomocą którego w dowolnym czasie i z dowolnego miejsca Adalbert mógł się przenieść do swojej pilnie strzeżonej kwatery. Działo się to dzięki mechanizmowi projekcji.

Towarzyszył mu także wierny pies, wilczur. Choć wyglądał jak zwykłe zwierzę, w istocie był robotem zaprogramowanym do tego, żeby tropić Germanów. Wbudowane w ciało psa czujniki były w stanie wyczuć ich nawet z dużej odległości. W nosie robota zamontowano sonar, który prześwietlał powierzchnię planety, poszukując wrogów ukrywających w którymś z gejzerów – a po ostatniej gwiazdnej wojnie pozostało ich wiele; stanowiły idealną kryjówkę dla germańskich bojówek. Wilczur był także mocno wyczulony na dźwięki. Specjalistyczne membrany w uszach sprawiały, że słyszał szmery niesłyszalne dla przeciętnego nieśmiertelnika. Z kolei soczewki w oczach pozwalały mu na blisko stukrotny zoom, nawet w zupełnej ciemności. Można więc powiedzieć, że wilczur widział, słyszał i czuł więcej. Ten wierny przyjaciel pełnił funkcję

zwiadowcy, ale i partnera, a czasem też obrońcy. Stanowili zgrany duet. Adalbert nie wyobrażał sobie życia bez swojego psa. Tak samo jak bez laski i melonika.

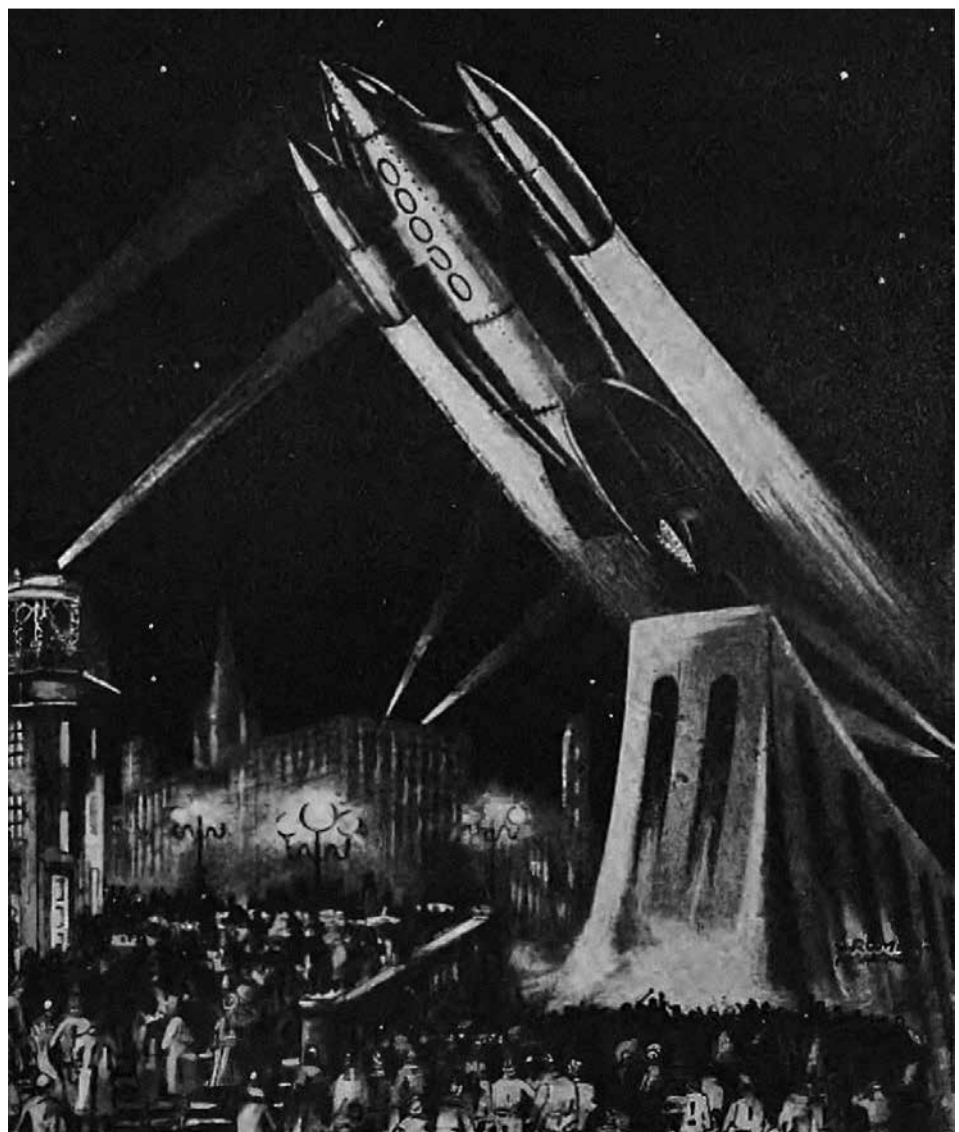
Wnętrze jego kwatery nie przypominało miejsca, z którego dowodzi i zawiaduje geniusz. Nieuporządkowane raporty i dokumenty piętrzyły się na podłodze rozrzucone w nieładzie. Pomieszczenie zdawało się pogrążone w chaosie, choć sam Adalbert działał w sposób uporządkowany. Każdy jego ruch był przemyślany. Zaprojektował swoje życie z precyzją. Kiedy był dzieckiem, a potem młodzieńcem, Korfantię okupowali Germanie, którzy robili wszystko, żeby skolonizować planetę. Już wtedy Adalbert zaczął studiować tajemne księgi, które Germanie starali się zniszczyć. Z każdą kolejną przeczytaną stroną stawał się silniejszy, mądrzejszy, dojrzałszy, ale też bardziej świadomy. Wzrastała w nim nienawiść do Germanii, do ucisku. Tęsknił za Korfantią, o której pisali pisarze i poeci. Postanowił, że sprawi, iż to o nim będą kiedyś powstawać dzieła.

Miał wrogów. Licznych. Nie tylko wśród Germanów, lecz także wśród swoich. Dlatego zamknął się w tej kwaterze – chciał chronić Węgielek. Wielu chciało go mieć i wielu chciało przejąć nad nim władzę. Ale to Adalbert został strażnikiem prawiecznej bryły i nie zamierzał się nią dzielić. Dlatego nie ufał nikomu – czasem nawet samemu sobie – i niechętnie godził się na projekcję.

Tego dnia w powietrzu było czuć unoszący się pył, który nie opadł jeszcze po trzeciej księżycowej potyczce. Adalbert wciąż słyszał echa walk, które stoczyli wierni mu Górnoślązacy. Porwał ich swoją charyzmą, swoimi ideałami. To za nim szli, by stawić opór Germanom. Tak jak on chcieli, by Korfantia znów należała do nich, by przestała stanowić część Germanii. I to się udało. Adalbert czuł z tego powodu satysfakcję, ale wiedział, że walka nie jest jeszcze skończona. Zaczynał planować kolejne kroki, czuł bowiem, że germański duch został uspijony, na chwilę stłamszony, ale wystarczy moment nieuwagi, a germańskie macki znów dosięgną Korfantii i, co najgorsze, Węgielka. Poprzysiągł sobie, że nie pozwoli, by ten skarb znów trafił w obce ręce. Niespodziewanie jednak oślepił go blask projekcji...

Piotr przebudził się i poczuł, jak jego serce wyrывa się z młodzieńczej piersi. Nie pamiętał, kiedy zasnął. Przypominał sobie tylko, że czytał komiks. Zaczął nerwowo szukać go wokół siebie na łóżku. Znalazł. Dystyngowany pan w meloniku, fraku, z laską i psem u swego boku przechadzał się ulicami Katowic w 1921 roku, jak mówił podpis pod obrazkiem. W tle widniał wiwatujący tłum, a w dymku można było przeczytać „KOR-FAN-TY, KOR-FAN-TY”.

Adrian Musiał



Wzlot ku przestrzeniom kosmicznym, „Naokoło Świata” 1928, nr 54, s. 21. Zbiory: Śląska Biblioteka Cyfrowa.

## IV wyróżnienie w kategorii literackiej

## CYBERSILESIA 2121

– Sarkazm: wstawaj, powstańcu, mamy Śląsk do wyzwolenia.

Gryff powoli otworzył oczy z przekonaniem, że śmierć nie jest w sumie taka zła. Leżał pomiędzy stertami brutalnie poskręcane złomu i spoglądał w szare niebo poprzeręcane smugami gęstego dymu. Słuch wracał mu powoli, ale nawet teraz rozpoznawał miarowe bicie ogromnych młotów, bezlitośnie tłukących w rozpalone do białości sztaby metalu. Każde uderzenie, niczym bicie stalowych serc, wprawiało złomowisko w drżenie.

Powiedzieć, że Gryff trafił do piekła, byłoby srogim niedopowiedzeniem. Próg diabelskiego królestwa przekraczali tylko grzesznicy, podczas gdy do serca Freikorpsu trafiali wszyscy, którzy nie uciekali wystarczająco szybko. Nienasycona maszyna, zbudowana z tysięcy kominów, linii produkcyjnych i gaśnic, wrosła w Śląsk niczym nowotwór. Doskonały strażnik, który raz na zawsze miał rozwiązać kwestię powstańców, rósł z każdym zdobytym kilometrem. Pochłaniał linie kolejowe, lasy oraz miasta, pozostawiając po sobie nagą ziemię i góry bezkształtnych odpadków.

Gryff przesunął ręką po ziejącej w piersi dziurze, krzywiąc się mimo woli. Gdyby wcześniej żył, powinien być teraz martwy, ale sytuacja mocno się skomplikowała. Spróbował złapać za krawędź wiszącego powyżej dźwigara, ale zamiast lewej ręki miał krótki kikut, z którego smętnie zwisał pęk kabli.

– Świetnie – mruknął Gryff, stając na równe nogi. Powiódł wzrokiem po hałdach złomu oraz wiszących nad nimi dźwigami magnetycznymi. – Po prostu świetnie.

– Nagana: nie śpieszy ci się zbytnio?

– Zamknij się.

Głos nie umilkł, zdawał się za to bardziej zadowolony z siebie.

– Stwierdzenie faktu: lewa ręka była całkiem użyteczna. Niestandardowy model ze wbudowaną wyrzutnią igieł ze zubożonego uranu oraz rzutek wybuchowych zwiększyłyby szanse powodzenia misji. Wewnętrzna tkan-

ka pokryta siatką palladową mogłaby powstrzymać nieuchronny koniec pod postacią pięcotonowego panzerhunda. Konkluzja: nie twierdzę, że mógłbyś prześcignąć ogara bojowego, ale nie powinno się odbierać nadziei w taki sposób. Żywe istoty uwielbiają się ludzić, że w ostatniej chwili zdołają oszukać przeznaczenie.

Mężczyzna zignorował pozbawiony emocji głos, który rozbrzmiewał w jego głowie, i ruszył ostrożnie pomiędzy stertami metalu. Odruchowo przełączył się na podczerwień, aby widzieć wiązki emitowane przez maszyny strzegące cmentarzyska czołgów, budynków, samolotów oraz statków. Każdy metalowy przedmiot przetapiano tu i wykorzystywano do budowy kolejnych machin wojennych. Freikorps był padlinożercą w każdym znaczeniu tego słowa.

– Beztroska uwaga: samochód po prawej będzie idealny, aby ukryć się przed walkiriami.

Gryff wspiął się po zmiążdżonym autobusie i pociągnął za klamkę samochodu w białego pomiędzy kawałek wagonu kolejowego a wyszarpane z betonu zbrojenie. Zamiast otworzyć drzwi, wyrwał je z zawiasów. Mechaniczne ciało było znacznie silniejsze od organicznego i bez trudu zniosło postrzał z przeciwpancerne działła maszyny kroczącej klasy Totenkopf. Tylko martwy mógł się dostać do wnętrza Freikorpsu, Gryff dołożył zatem starań, aby za takiego uchodzić.

Teraz musiał tylko dopilnować, żeby nie potwierdzić plotek o swojej śmierci.

Wsunął się na siedzenie kierowcy, zaklinował drzwi w otworze i zastygł w bezruchu.

Po chwili huk młotów został zagłuszony przez jazgot przypominający wściekły krzyk. Dymy zawirowały, a spomiędzy gór złomu podniosły się chmury kurzu i kawałków metalu, które uderzyły o karoserię samochodu. Z nieba spadły dwie Walkirie otoczone płaszczem ognia oraz spalin. Najeżone czujnikami maszyny unosiły się nad polami bitew, poszukując zniszczonych pojazdów, które mogły-

by zasilić kuźnie Freikorpsu. Niektóre Walkirie porwały ludzi. Pozyskanie ludzkiej sieć neuronowej była znacznie tańsze niż odzyskanie obwodów scalonych wykorzystywanych do sterowania maszynami. Powstańcy walczyli więc ze swoimi sąsiadami zamkniętymi w pancernych trzewiach pojazdów z czarnym krzyżem wypalonym na tarczach identyfikacyjnych.

Walkirie sunęły pomiędzy stertami wraków. Anteny niemal szorowały po złomie, a mechaniczne źrenice zmieniały kolor, gdy maszyny przeczesywały otoczenie z użyciem termowizji, podczerwieni oraz wizji chemicznej. Po kilku nieznośnie długich chwilach turbiny przyspieszyły, pchając Walkirie z powrotem w stronę ciemnego nieba. Gryff chciał głęboko odetchnąć, ale dopiero po chwili przypomniał sobie, że nie może tego zrobić. Nie miał już płuc. Opadł na fotel i puścił drzwi, które upadły z brzękiem.

– Cholera jasna. Blisko. Za blisko.

– Obserwacja: siedzenie w bezruchu, przekleństwo oraz kręcenie głową nie zwiększają szans na wykonanie zadania.

– Stwierdzenie oczywistości też nie – odparł Gryff. – Ile te jest zero plus zero?

– Urażona дума: dwa.

Gryff obrzucił nieufnym spojrzeniem najbliższy dźwig elektromagnetyczny, po czym wyskoczył z samochodu. Gdy ogromny dysk zaczął zbierać kolejną partię złomu, mężczyzna chwycił za metalową dłoń okaleczonego posągu, który unosił się do góry wraz z owalem cewki. Ramię dźwigu obracało się powoli, co pozwoliło Gryffowi zobaczyć spowitą dymem Górę Świętej Anny. Nawet z tej odległości był w stanie zobaczyć ogniste rozbłyski wybuchów, gigantyczne zarysy machin kroczących oraz chmury Walkirii, walczących o panowanie w powietrzu z maszynami powstańców. Bitwa zniknęła, przesłonięta pochyłą ścianą, która tworzyła zwężający się ku dołowi kielich.

Dźwig zrzucił go na taśmociąg służący do segregowania zebranego złomu. Magnetyczne chwytaki wyłapywały fragmenty metalu, aby ocenić ich skład pierwiastkowy okiem spektrometru. Tutaj cały dorobek Śląska był selekcionowany i wysyłany do fabryk panczerzy, turbin, amunicji, sprzętu optycznego oraz kadłubów,

które wkrótce miały zmiążdżyć rozpaczliwą obronę Góry Świętej Anny. Freikorps przekuwał Śląsk i jego mieszkańców w bezlitosną broń.

Gryff stał nieruchomo, gdy pozbawiony nóg posąg młodej kobiety został chwycony w magnetyczny uścisk i przyciągnięty przed oblicze spektrometru. Delikatną twarz dziewczyny oświetliła czerwona aura czujników. Freikorps przesunął po jej policzkach laserową siatką, po czym wrzucił ciało do kruszarki, gdzie metalowe szczęki rozerwały posąg na strzępy.

– Duma: to się nazywa wydajność. Żal będzie to wszystko zniszczyć.

– Mam nadzieję, że nie zamierzasz zmienić zdania.

– Drwina: oczywiście, że nie.

Kolejne ramię wysunęło się po Gryffa. Mężczyzna mógł się bez trudu uchylić przed chwytkiem i wydostać z pułapki, ale nie na tym polegało jego zadanie. Mechaniczne źrenice spektrometru zwężyły się, szacując wartość ciała androida. Zanim Gryff spadł do rozdrabniarki, mógłby przysiąc, że dostrzegł za szklaną powieką chciwy błysk jaźni.

Pochłaniając dane powstańca, Freikorps przejął coś jeszcze. Niepozorny fragment kodu, zapisany na każdej części androida niczym tatuaż. Program na pierwszy rzut oka wyglądał na nieszkodliwy moduł sztucznej inteligencji o nazwie „Korfanty”, ale Freikorps przeoczył jego ukrytą, w istocie banalną funkcję. Przy każdym odczytaniu danych wirus dodawał do wszystkich napotkanych zbiorów liczbę jeden. Z prędkością światłowodów „Korfanty” opanował stalowego goliata oraz wszystkie podległe mu maszyny.

Walkirie spadały z nieba, nie potrafiąc obliczyć bezpiecznego kursu lotu. Kroczące totenkopfy wybuchały przez zapłon niewłaściwie dobranej mieszanki paliwowej. Wały korbowe kuźni pękały, gdy komputer domagał się zwiększenia tempa pracy. Ogarnięty cybernetycznym szaleńcem Freikorps rozrywał swoje ciało na strzępy i nawet próba resetu nie zdała się na wiele.

Każde zero natychmiast zamieniło się w jedynekę.

Jerzy Wolf

WYDAWCA: Instytut Myśli Polskiej im. Wojciecha Korfantego. DYREKTOR: Dorota Pociask-Frańcek

AUTORZY TEKSTÓW I GRAFIK: Kamil Bednarek, Małgorzata Gortel, Marcin Halski, Przemysław Karbowski, Lisiot, Agnieszka Makowska, Adrian Musiał, Kamila Radwan, Małgorzata Sikora, Katarzyna Siwiec, Jerzy Wolf, Emil Zawadzki, Julia Zyguła.

SKŁAD I ŁAMANIE: Katarzyna Kiołbasa. REDAKCJA I KOREKTA: Helena Piecuch

ISBN 978-83-67490-21-4 Nakład: 1.000 egz.



Województwo  
Śląskie



Instytut Myśli Polskiej  
im. Wojciecha Korfantego

Instytut Myśli Polskiej  
im. Wojciecha Korfantego  
jest instytucją kultury Samorządu  
Województwa Śląskiego.